

Efekt biegaczki

Mój ukochany ma pod nosem mleko. Kiedy go poznałam, bolał mnie kręgosłup: tam na dole, mówił, wskazując niedbałym ruchem głowy na odcinek lędźwiowy, zaczyna się proces nieodwracalny.

Cóż on może wiedzieć o nieodwracalności?, pomyślałam od razu, próbując ukryć głębokim wdechem fałd brzuszny, zupełnie bezskutecznie. Czy jest w tym choć cień mojej winy, że fizjoterapeuci są zwykle wyzywająco atrakcyjni i nieprzyzwoicie młodzi? Czym zawiniłam, że kiedy się rodził, wybuchła wojna w Jugosławii, a ja już szłam do bierzmowania, modląc się o pokój na ziemi? Zamęczaliśmy katechetę pytaniami, z którymi ten tępy osioł nie potrafił sobie poradzić: czy Adam i Ewa byli czarni? Czy Judasz miał wybór i co by było, gdyby wybrał inaczej? I na co planował wydać swoje srebrniki? Nie interesowały nas odpowiedzi, jedynie to, by zirytować bogobojnego belfra. W tym czasie mojej miłości zmieniano pieluchy.

Kiedy wybrzydzałam przy stole, matka karciała mnie srogo: jedz, syczała, gdzieś na świecie głodują dzieci.

A jemu właśnie podawano pierś.

*

– Musi pani wzmocnić mięśnie brzucha – poucza mnie to dziecko, a ja postanawiam zagrać w jego grę.

– Ile razy tygodniowo zaleca pan doktor ćwiczyć? – wrzucam do piaskownicy swoje łopatki, gram *va banque* i taskoczę go tytułem, o którym z tą masą mięśniową może zapomnieć. Albo biblioteka, albo siłownia, jak mawia mój mąż profesor, gdy chce tanio usprawiedliwić swoją wątpliwość.

– Co najmniej trzy – chłopczyk porusza grabkami, udaje, że nie zauważył tytułatury, zupełnie nieosiągalnej wobec jego muskulatury. Przygląda się moim barkom – tu musimy rozbić to napięcie.

Tego napięcia nie da się już rozbić, myślę po kryjomu i wysyłam sobie wewnętrznego kuksańca, oj, ty świntucho. Wracam do domu wymasowana i rozciągnięta. W drodze powrotnej googluję chłopca: fizjoterapeuta, rehabilitant, były mistrz w pływaniu synchronicznym, trener osobisty. Na jego miejscu też nie przejmowałabym się brakiem doktoratu.

*

– Pomożesz mi w lekcjach, mamó? – pytanie syna dopada mnie jeszcze w proggu, ból wraca momentalnie.

Siedzimy nad funkcjami, a ja w myślach obliczam różnicę wieku między synem a ukochanym. Wychodzi słabo, więc skupiam się na zadaniu domowym. Mój mąż profesor jest humanistą, dlatego wszystkie ścisłe przedmioty spadają na moje barki. Daleko nam do skandynawskiego modelu rodziny. Ja sama ciągnę ten wózek, trzeba to sobie jasno powiedzieć, i pewnie stąd te bóle w kręgosłupie. Syn podaje prawidłowy wynik, całuję go w rozczochraną czuprynę i zamykam książki. Uznaję, że zażyłam na nagrodę.

*

– Tego nie da się załatwić jedną wizytą – tłumaczę mężowi przy śniadaniu. – Regularność to w takim przypadku podstawa sukcesu.

Krzywi się, wyraźnie coś mu nie w smak, może jajka za długo leżały.

– W dodatku muszę ćwiczyć mięśnie brzucha. Zalecenie lekarskie. – W naciąganiu tytułów ostatnio nie mam sobie równych. – Potrzebuję trenera – ośmielam się w końcu. – Sama nie wiedziałabym, co robić. Mogłabym zrobić sobie jeszcze większą krzywdę, uszkodzić stawy, już nigdy nie być w stanie... – Zerkam z ukosa, bo skończyły mi się pomysły, sama już nie wiem, jaka funkcja mojego ciała może się dla niego okazać najbardziej nieodżałowana.

Tomasz wciąż stroi miny, przelknął jajka, ale wyraźnie brakuje mu argumentów. Nie może przecież przyznać, że mój kręgosłup w ogóle go nie obchodzi, że za trzy tygodnie leci do Stanów na konferencję, że referat o filozofii języka późnego Wittgensteina w prozie Esterházyego nie przygotowuje się sam, choć – jak myśli dalej, jak zwykle odlatując w sobie tylko znane rejony – to byłby dopiero prawdziwy postmodernizm, dogłębnie freestyle'owa gra językowa. Dlatego bardzo liczył na moją pomoc z całą resztą obowizzków. A ja mu teraz o rehabilitacji, trenerach osobistych i zaniedbanych mięśniach brzucha. Nic mu po takiej żonie, przyznałby, gdyby się tak nie bał – mnie i takiej brzydkiej myśli.

– Dobrze – zgadza się w końcu. – Znajdź sobie tego trenera.

Miękki jest jak guma do żucia, a ja robię go w balona. Przemilczam fakt, że wcale już nie muszę szukać.

*

Moja miłość nie uznaje niepotrzebnych komplikacji. Problemy egzystencjalne nazywa egzystencjonalnymi i wykpiwa z arogancją, której urokowi nie mogę się oprzeć. Ten luz w doborze słów, nonszalancja, z jaką szasta pojęciami, których nie rozumie, to, jak przestawia głoski i dodaje sufiksy tam, gdzie nie powinno ich być – to wszystko wydaje mi się odwagą, której tak brakuje mojemu mężowi. Tomasz nie pozwala sobie na błędy. Moja miłość ich nie zauważa, ot, po prostu wyrzuca z siebie niepoprawne słowa i depcze od niechcenia jak zużyte papierki po cukierkach.

– Proszę to wziąć. – Podaje mi ciężarki. – Wzmocnimy trochę nogi.

Mój ukochany nie przejmuje się głupotami. Wie, co jest w życiu najważniejsze i że z całą pewnością nie są to odstępstwa fleksyjne.

– Za trzy miesiące będzie pani miała piękny kaloryfer – zapewnia, a ja wierzę mu jak ministrant księdzu. Trudno powiedzieć, kiedy przestała mnie interesować proza Esterházyego.

*

Mój mąż liczy siwe włosy. Każdy nowy zapisuje w notesiku jak dowód zbrodni dokonanej na jego młodości. To typ depresyjny, pielęgnuje poczucie porażki. Gdyby życie w jakiś sposób nie dawało mu w tyłek, pogubiłby się zupełnie. Tymczasem ja w poniedziałek znów mam trzydzieści lat. W piątek, po dwóch treningach, dwadzieścia dziewięć. Oczekiwana dziewiętnastka zbliża się wielkimi krokami. Zakładam błękitne szorty, próbuję ignorować ucisk w pasie. Na brodzie zauważam pryszczka. Idę do drogerii po Clearasil. Rozważam zakup motocykla.

*

W sobotę mam zakwasy. Nie mogę się ruszyć. To niemożliwe, że przesadziłam, postępowalam rozsądnie i zgodnie ze wskazówkami. Moje ciało sieje defetyzm. Nie wie, że to dla jego dobra. Naszego wspólnego dobra. Próbuję mu przetłumaczyć. Nie słucha.

Nie wiem, kiedy ani jak to się stało, bo przecież zawsze było za wcześnie, zawsze gdy zastanawiałam się, kiedy w końcu będę mogła zacząć żyć. Kiedy zyskam głos, którego ktoś będzie chciał posłuchać. Przecież dzieci i ryby. I młode panienki. Czy to już? – pytałam samą siebie, kiedy koledzy robili kariery. I zawsze odpowiadałam: nie. Aż nagle zorientowałam się, że to już zostało gdzieś w tyle, za wszystkimi decyzjami, które ktoś podjął za mnie i których nie da się odwrócić. Kim była ta zahukana dziewczynka, która przemykała przez moje życie jak mysz goniona przez złośliwego kota? Dlaczego rozpanoszyła się w moim istnieniu, zaraziła je rezygnacją, sezonową rozpaczą i cellulitem?

*

Mój ukochany nie jest zadowolony z mojego BMI. Każę sprawdzać indeks glikemiczny posiłków. Waży mnie na wadze wykrywającej poziom tłuszczu. Aplikacja w jego smartfonie pokazuje mój poziom umięśnienia: 59 kilogramów, tkanka tłuszczowa 32,9%, mięśnie 37,2 kg, czyli 62,9%, woda 47,8%. W domu przeliczam na kalkulatorze. Razem 143,6%, przekroczyłam limit o czterdzieści trzy i sześć. Nie ma we mnie miejsca na kości i organy. Aplikacja również nie jest zadowolona, zaleca modyfikację diety.

*

Dieta i dobrze dobrany plan treningowy to podstawa. Trzeba ustalić priorytety. Nie zrażać się brakiem natychmiastowych efektów. Uzbroidź w cierpliwość. Jeść warzywa. Wierzyć w siebie. Biec do przodu, podnosić się z potknięcia. Spojrzeć prawdzie w oczy i powiedzieć, że kłamie. I monitorować tętno.

Mój ukochany nie stał w Hali Marymonckiej w kilkugodzinnej kolejce po mortadellę, ale to nic. Ma świeże spojrzenie, skończył gimnazjum i jeździł na erasmusy. Ostatecznie

to stanie z umęczoną matką niczego mnie przecież nie nauczyło, wręcz przeciwnie. Razem z paszтетową nabywałam za kartki wschodnioeuropejskie kompleksy. Koszyki brać, to nie Kanada, słyszałam, kiedy wchodziłyśmy do Społemu. Dopiero teraz, po ekspresowej liposukcji rozsądku i doświadczenia życiowego, wiem już wszystko: o świecie i całej reszcie. Robię dziesięć kilometrów w pięćdziesiąt pięć minut, puls mam wyrównany, medytuję. Wcześniej wszystko mi się kiefbaśiło. Biegam tylko po równym, na górki i interwały przyjdzie czas. Opłacałam pakiety startowe pięciu biegów ulicznych. Inni biegacze pozdrawiają mnie machnięciem ręki. Nigdy wcześniej nie miałam tylu znajomych w odblaskowych ciuchach, a to przecież o czymś świadczy.

*

Mój mąż wylatuje na konferencję, zostaję sama z synem. Próbuję przekonać go do kielków, zauważam, że się garbi. Nie chce ze mną rozmawiać, jest w tym swoim wieku. Pozwalam mu na to, bo wierzę, że kiedyś znajdziemy nić porozumienia. Jako matka swojego syna widzę przecież więcej, niż zdołałaby zobaczyć jedna zwykła osoba. Lepiej niż on znam jego przeszłość i potrafię przewidzieć przyszłość. Zaplatam te czasy w jeden warkocz z terazniejszością i bawię się nim jak mała dziewczynka. Mam wiele twarzy, te pobłażliwe i te wymagające. Patrzę na mojego syna i wiem, która ja ma tym razem przejść stery rodzicielstwa. Kiedyś to doceni, jestem o tym przekonana. Na razie jednak gra w Fortnite, a matka nie ma dla niego nawet znamion trójwymiarowości.

Trochę się martwię, że nie ma dziewczyny, to takie niezdrowe. Dlatego zabroniłam mu chodzić na religię, by nie słuchał głupot o szkodliwości masturbacji. Jestem matką nowoczesną, oświeconą i postępującą. Postępuję w latach, postępuję, jak mam ochotę.

*

Jestem głodna. Marzę o kotleciku schabowym i tłuczonych ziemniakach ze skwarkami. Na klatce schodowej wdycham zapachy niedzielnych obiadów jak uwięziony w podwodnej jaskini nurek resztki tlenu z butli. Ta spod trzynastki gotuje bigos. Woń zasmażki ścyczy się przez szparę w drzwiach. Ja też robiłam na stoninie, tak jest najlepiej. Mój ukochany zgadza się tylko na ciemny ryż. Motywuje mnie, mówi, że rozumie. Nie je mięsa i nabiału od dziesięciu lat. Zastanawiam się, czy kiedy wkroczył na głodową ścieżkę weganizmu, musiał się już golić. Czy był jeszcze przed mutacją? I co na to jego mama?

Kupuję ciecierzycę. Okazuje się, że trzeba ją moczyć co najmniej pół doby. Obiad zjadam następnego dnia.

– Co ty się tak napinasz, matka? – pyta mój syn znad konsoli. – Czasu nie cofniesz przecież.

A ja wiem, że się myli, bo co on może wiedzieć o życiu, lekcji sam nie potrafi odrobić. A ja, mimo wieku i badań naukowych, z których wynika coś zupełnie przeciwnego, nawet uczę się szybciej od niego. Niech mi pani w markecie będzie świadkiem: kolejną cieciorkę kupuję już ugotowaną, z puszki.

*

Śnię o swoim trenerze. Wkłada mi głowę między nogi, na pośladkach czuję jego szorstki zarost. Jest mi dobrze i chcę, by tak zostało, zamykam oczy i zupełnie niepotrzebnie znów je otwieram, zupełnie niepotrzebnie. Może gdybym nie otworzyła, nie zobaczyłabym wcale, jak zmieniam się w zielonego robaka, jak nogi oplecione wokół szyi mojej miłości przemieniają się w cienkie odnóża z kolcami. *Mantis religiosa*, myślę sobie i wiem już, co się stanie za chwilę. Nie potrafię nad tym zapanować, zbyt długo chodziłam spać bez kolacji.

Mój ukochany smakuje wybornie, przypięłabym mu do piersi gwiazdkę Michelin, ale nie przyczepię już agrafki do czegoś, co trawi się właśnie w moim żołądku.

Budzę się z tępyim bólem w skroni. W trąbkę słuchową ktoś dmie mi bez przerwy zdanie-melodię: chcę mieć sumienie świętej Tereski. Chcę mieć sumienie świętej Tereski. Za późno, głupia.

*

Dzwoni siostra, płacze w słuchawkę, mąż zostawił ją dla młodszej. Co za łajza, myślę i słyszę, jak mi pika w telefonie, ktoś próbuje się dodzwonić jednocześnie. Moja miłość sprawdza, czy wykonałam dzienne brzuszki, tak się troszczy, kochany. Chwileczkę, mówię, i wracam jednak do siostry, w końcu jest zupełnie rozbita. Nie rozumiem, jak tak można, po tylu latach, obietnicach i zobowiązaniach, dla kawałka jędrnej skóry. Chociaż sama jej go odradzałam, już dawniej mi się nie podobał, za chudy i wąsaty, potrafię rozpoznać, jak ludziom źle z oczu patrzy. Ale siostra miała już suknię, została jej po poprzednim narzeczonym, a moda ślubna tak szybko ulega dezaktualizacji.

Wzdycham, zawieszam głos, rzucam kilka epitetów, w końcu radzę, by go na rozwodzie wydoiła do sucha. Wydaje się pokrzepiona, wspomina coś o mieszkaniu, ja mam poczucie spełnionego obowiązku. My, kobiety, musimy się trzymać razem.

Odzwaniam do ukochanego, mówię, że było pięćdziesiąt klasycznych i po tyle samo skończych. Zaleca dołożyć podciąganie i pilnować rozchylenia łokci. Umawiamy się na kolejny dzień na biegi, żegnamy się raczej niechętnie. Dzwoni mąż ze Stanów, powariowali wszyscy dzisiaj. Nie odbieram już, bez przesady, muszę w końcu kiedyś wstawić obiad.

*

Zapraszam koleżanki na babski wieczór. Kupuję marchewki, kalarepę i alkohol. Wychodzę ze sklepu obrażona, że nikt nie zapytał mnie o dowód.

Pierwsza przychodzi Zośka, szczęśliwa rozwódka. Jej nowy chłopak ma dwadzieścia sześć lat, mamy o czym rozmawiać. Przynajmniej dopóki nie zjawia się Ela, której problemy wypełniają całą przestrzeń jak toksyczny gaz. Ma niepełnosprawną córkę. Męża uzależnionego od porno. Właśnie straciła pracę. Czasami się tnie. Jej życie wygląda tak, jakby pisał je jakiś niewyżyty grafoman ze skłonnościami do sadyzmu. Polewamy jej więcej, bo wiemy, że z niektórych sytuacji nie da się wyjść nawet z rzeszą trenerów

motywacyjnych. W życiu nie o motywację chodzi, tylko fakty, a te bywają czasem porządnie zjebane.

Kiedy w końcu dociera do nas Anka, jesteśmy już całkiem wstawione. Powiększyła sobie cycki i chce się pochwalić, ale nikt jej nie słucha. Też miałam kiedyś duże cycki, przed dzieckiem. Tego akurat nie żałuję. Kiedy na akademii szkolnej w liceum recytowałam *Widziane z góry* Szymborskiej, wszyscy tylko patrzyli na moje piersi, za duże, falujące pod białą bluzką jak napęczniały topielec. A ja autentycznie przejmowałam się martwym żukiem i ludzką obojętnością wobec jego złożonych na brzuchu nówek. Trzech par. Dościliśmy wtedy Nobla, to było coś.

*

Na środowy trening wpada dziewczyna mojego ukochanego. Mój najdroższy pyta, czy nie mam nic przeciwko. Ona też myśli o zawodzie trenerki, chce podpatrywać, podpatrując, uczyć się. Razem kończyli AWF. Zupełnie, zupełnie niedawno. Są piękni, niemal nastoletni. Dusze czyste jak jałowy opatrunek. Ciała jak z warsztatu Michała Anioła. To nie ich rzeźbiono tępy młotem socjalizmu, myślę zawistnie, próbując spuścić powietrze ze swojej oponki.

Oczywiście, że nie mam nic przeciwko, mamroczę pod nosem, zakładając ciężarki na kostki. Dobrze, że trzymam twarz schyloną ku ziemi.

Nigdy nie próbowałam powstrzymać ataku złości, licząc do dziesięciu. Wydawało mi się to zupełnie absurdalne, jak gdyby ktoś usiłował zatrzymać nadciągający huragan, śpiewając piosenki Abby. Jakieś *Dancing Queen* czy *Take a Chance on Me*, kompletna bzdura. Dlatego kiedy czuję, że mój system nerwowy nie wytrzyma, zaczynam recytować *Iliadę*:

*Gniew Achilla, bogini, głos, obfity w szkody,
Który ściągnął klęsk tyle na greckie narody,
Mnóstwo dusz męźnych wcześniej wtrącił do Erebu,
A na pastwę dał sępom i psom bez pogrzebu
Walające się trupy rycerskie wśród pola:
Tak Zeusa wielkiego spełniła się wola¹.*

Zazwyczaj już przy Zeusa łamie mi się głos. I zaraz potem wybucham. Dzięki temu jednak czuję, że mój gniew jest w pełni uzasadniony. Potrzebuję dla niego uzasadnienia, ponieważ mój mąż, o ile akurat nie ma fazy depresyjnej, jest stoikiem. To efekt uboczny psychoterapii. Albo leków, ciężko powiedzieć. Tłumaczy mi, że nie mamy prawa się złościć, że przecież wszystko dostajemy na chwilę i musimy grzecznie zwrócić. Jak książki do biblioteki, dodaje, bo nie wpadłby na inne porównanie. Dlatego ja odgryzam się bogami. Argumentuję, że nawet oni. A nawet ten jedyny, niby doskonały. I przytaczam

¹ Homer, *Iliada*, tłum. Józef Paszkowski (Kraków: Wydawnictwo GREG, 2016), 5.

potop. Sodomę z Gomorą. Jezusa rozwalającego stragany. Mój mąż profesor zasepia się. Na pewno wołałby być z jakąś wpatrzoną w niego studentką, która nie ośmiela się podważać jego autorytetu. Ale jest stoikiem, musi brać, co mu dano i oddać bez sprzeciwu, gdy tylko na arenę wkracza fizjoterapeuta.

A ja biegnę z ciężarkami przyczepionymi do kostek i przełykam łyżki jak tabletki z jodkiem potasu po katastrofie w Czarnobylu. I recytuję biblijną wersję uzasadnienia:

„Kiedy zaś Pan widział, że wielka jest niegodziwość ludzi na ziemi i że usposobienie ich jest wciąż złe, żałował, że stworzył ludzi na ziemi, i zasmucił się. Wreszcie Pan rzekł: «Zgładzę ludzi, których stworzyłem, z powierzchni ziemi: ludzi, bydło, zwierzęta pełzające i ptaki powietrzne, bo żal mi, że ich stworzyłem»².

Przy bydle zaczynam się dusić i przyspieszam bieg. Mój ukochany powinien być zadowolony, poprawiłam średnią na kilometr.

*

A może mój mąż ma rację, myślę, nie zatrzymując się, może powinnam się jednak ze wszystkim pogodzić. Z tym że choćbym nie wiem jak szybko biegła, nigdy nie dotrę tam, gdzie chcę, bo jak w sennym koszmarze nie tyle biegnę w miejscu, ile zmierzam w odwrotnym kierunku. I jeszcze z tym, że na tej drodze nikt mnie nie widzi, bo nawet w odblaskowych ubraniach jestem dla wszystkich zupełnie niewidoczna. Czemu się zresztą nie dziwię, w końcu sama też się nie dostrzegam, kiedy tak na siebie patrzę, co oczywiście nie ma żadnego znaczenia, bo nikt mojej aprobaty do ignorowania mnie zupełnie nie potrzebuje.

Biegnę, a biegnąc, mijam pana z małym pieskiem i dziecko z dużym rodzicem, mijam parę, która się kłóci, i taką, która trochę za bardzo się przytula. I kiedy tak biegnę i mijam, to myślę sobie, że równie dobrze mogłabym wcale nie biec i wcale nie mijając i niczego by to w strukturze wszechświata nie zmieniło, bo mojemu biegowi i mojemu mijaniu daleko do trzepotu skrzydeł motyla, który na innym krańcu świata potrafi wywołać burzę piaskową. Biegnę więc bez celu, bez nadziei na tornada i tajfuny, biegnę, choć wiem, że powietrze wokół mnie stoi bez ruchu jak zakłęte przez złą czarownicę, która w dniu moich urodzin pozazdrościła mi młodości i skazała na nieuchronne, bolesne starzenie.

Biegnę i wiem, że oni gdzieś tam stoją, czekają na mnie, choć wcale o mnie nie myślą, że chcą wreszcie skończyć ten trening i iść pieprzyć się w krzakach, pocierać o siebie swoje ekskluzywne ciała i wydzielać wysokogatunkowe soki. Niby czego innego można chcieć, gdy się wygląda jak oni, oddycha jak oni, gdy się jest nimi?

Biegnę i czuję, jak mnie łamie w kręgosłupie, bo trener trenerem, ale od pewnych rzeczy nie ma przecież ucieczki. I kiedy dobiegam, kiedy minęłam już wszystkich, których minąć powinnam, pana z pieskiem, dziecko z rodzicem, a nawet łysiego drecha, który zapewne chętnie by mi wpierdolił, gdyby tylko nie było tu tylu gapiów, bo swoim krzykliwym cellulitem psują mi krajobraz sielski, anielski, polski, kibolski, kiedy wreszcie

² „Księga Rodzaju”, w: *Biblia Tysiąclecia*, 6, 5–8.

stają i łapię powietrze w płuca niszczone w liceum tanimi elemami z przemytu, dziękuję mojemu ukochanemu za wspólnie spędzony czas i wysiłek włożony w stabilizację stanu mojego odcinka lędźwiowego. Zdejmuję z nóg ciężarki i z uśmiechem na ustach podaję rękę jego atrakcyjnej dziewczynie. I odchodzę w stronę zachodzącego słońca, choć ten efekciarski pomarańcz wypala mi zmęczone płaczem spojówki. Czuję, że w powietrzu zanosi się na deszcz.

*

Mój mąż ma wracać pod koniec tygodnia, referat wypadł znakomicie. W głowie czuje jeszcze resztki kaca pozostającego po wieczornym bankiecie w gronie uniwersyteckich staw. Wie, że nie powinien był pić; po lekach, które bierze, za dwa dni mogą dopaść go lęki.

Dziekan złożył mu pewną propozycję, raczej nic zobowiązującego, może trafniej byłoby rzec: zrobił luźną sugestię. Ale nie potrafi wyrzucić jej z głowy. Szuka słów, którymi mógłby mi o niej powiedzieć, ale znajduje tylko niepowiązane sylaby i kilka bezkształtnych przydechów. Widzę go w mojej głowie wyraźnie, jak pakuje walizkę i opuszcza pokój hotelowy, przestrzeń zużytą jak zatłuszczone pudełko po chińskim fast foodzie.

Kiedy jedzie taksówką, niebo robi się sine, gwałtowny wiatr zrywa się jak z uprząży i niesie po ulicach papierki powywiewane z koszy na śmieci. Przechodnie wciskają głowy w skorupy kołnierzy i uciekają do domów. Okiennice, które ktoś nieopatrznie zostawił otwarte, uderzają we framugi. *Danse macabre* żywej i martwej natury. Na moście samochód kołysze się jak kuter rybacki, taksówkarz jest jednak kierowcą doświadczonym, zderzenia z górą lodową nie będzie.

Pierwszy piorun uderza w próżnię powietrza, kiedy mój mąż profesor, badacz prozy Esterházygo z kolejnym zagranicznym referatem na koncie, przekracza próg lotniska. Na wyświetlaczu w hali głównej dostrzega informację, że z powodu trudnych warunków pogodowych jego lot będzie opóźniony. Czas opóźnienia pozostaje nieoszacowany.

Snuje się bez celu po zatłoczonym lotnisku, ogląda witryny sklepów, w witrynach luksusowe produkty o absurdalnie zawyżonych cenach. Mija rodzinę chasydów i małżeństwo Hindusów. Mija zadowolonego z siebie biznesmena, zupełnie nieświadomego, że na klapie marynarki pobłyśnie mu żółta plama po musztardzie. Mija matkę z trzyletnim dzieckiem, dziecko wypuszcza misia, on podnosi, podaje, dziecko patrzy nieufnie, matka dziękuje. Idzie do toalety, myje spocone ręce, przeciera twarz, jakby chciał zmyć z niej wory pod oczami, wczorajszy bankiet, alkohol, tygodnie przygotowań.

Nie zmywa. Wychodzi z łazienki i słyszy deszcz dudniący o szyby jak siedem tręb Apokalipsy. Kręci się jeszcze przez chwilę, kupuje w automacie butelkę wody, niechcący gazowanej. Otwierając, rozlewa trochę na czubki butów, pije. W końcu znajduje miejsce przy oknie, siada na plastikowym fotelu i obserwuje przecinające niebo błyskawice. Za chwilę usłyszy grzmot. Czeką.